

Marian Dobrosielski

Zdaję sobie sprawę, że z punktu widzenia geografii jest to wyrażenie bezsensowne. Język geopolityki przejął jednak wiele precyzyjnych i jasnych pojęć geografii nadających im różnorodne znaczenia. W języku geopolityki takie terminy jak: „Zachód”, „Wschód”, „Północ”, „Południe”, „Bieguny” mają często, odmienne niż w geografii, zmieniające się znaczenia. Tak np. w Starożytności termin „Zachód” oznaczał region, w którym zachodzi Słońce, a „Wschód” oznaczał region, w którym Słońce wschodzi. W okresie wypraw krzyżowych (XI-XIV w. na Bliski Wschód), a później do Grunwaldu, muzułmanie określali jako „zachodnie” państwa chrześcijańskie uczestniczące w krucjatach.

W okresie kolonizacji (XVI-XVIII w.) Afryki, Azji, Ameryki, Oceanii – kolonizatorów: Anglików, Francuzów, Hiszpanów, Portugalczyków, Holendrów, Belgów, Niemców nazywano „białymi”. W połowie XX w. pojęcia „biali” i „Zachód” uważane były za niemal synonimy.

Obecnie, w języku polityki, języku literackim unika się, w zasadzie, wynikających z przesądów i uprzedzeń określeń. Rasizm jednak, mimo druzgocącego, naukowego wykazania jego bezzasadności i olbrzymiej szkodliwości, trzyma się mocno w wielu państwach świata. Nie brzydzą się nim też niektórzy politycy. Tak na przykład - po wyborze Baracka Obamy na prezydenta USA, PiS-owski poseł Kurski oznajmił, że jego zwycięstwo nad G.W. Bushem oznacza „koniec białej cywilizacji”. W pewnym sensie – miał rację. Zwycięstwo Obamy nie oznacza wprawdzie „końca białej cywilizacji”, ale na pewno koniec dominacji „białego Zachodu” nad światem.

Obecnie, nazywając rzeczy po imieniu, „Zachód” znaczy tyle, co kapitalizm. To terytoria opanowane przez ustroje i rządy, kierujące się w różnym stopniu dogmatyczną, zbankrutowaną w sensie naukowym neoliberalną doktryną globalizacji, uznającą istnienie „naukowych”, „niezmiennych” praw wolnego rynku i jego bardzo widzialnej obecnie „niewidzialnej ręki”. Pod maską rzekomych „wspólnych wartości Zachodu” próbuje narzucać per fas et nefas różnym państwom świata stworzenie i uznanie wspomnianych „praw” naukowych neoliberalizmu i przyjęcie rzekomo uniwersalnych wartości, takich jak demokracja, wolność (rynku), prawa człowieka.

Naomi Klein, w swym fundamentalnym dziele „Doktryna szoku” wykazała pełne hipokryzji, oszustw, przemocy, wojen sposoby globalizacji i neoliberalizmu. Do tak rozumianego „Zachodu” zaliczają się dziś wszystkie państwa NATO i Unii Europejskiej, w tym Polska i inne państwa „realnego socjalizmu”, z bałtyckimi włącznie, które do lat 90. leżały na Wschodzie.

Do Zachodu należą też takie państwa jak Australia czy Nowa Zelandia. Sądzę, że nadszedł czas, by zrezygnować z tak rozumianego „Zachodu”. Państwa, rzekomo doń należące, mają często różne, niekiedy sprzeczne interesy, nie zawsze uznają w teorii i praktyce te same wartości różniące się kulturowo i cywilizacyjnie. Język i pojęcia geopolityki powinny odpowiadać geopolitycznej rzeczywistości. Ale jest to temat wymagający odrębnego, obszernego omówienia.

W języku geopolityki, w różny niż w geografii sposób, używa się też terminów „Północ” i „Południe”. W Europie północ sięga do południowych wybrzeży Morza Śródziemnego (należy przecież do „kultury śródziemnomorskiej”), o czym snobistycznie i bezskutecznie przekonywano jakiś czas temu Polaków). Na kontynencie amerykańskim i azjatyckim różnie też przebiegają geopolityczne granice między Północą a Południem. Jeśli idzie o bieguny, to z geografii wiemy, że są dwa i tylko dwa.

Wspomniałem, że w języku geografii mówienie czy pisanie o świecie jedno- czy

wielobiegunowym to absurd. W języku geopolityki pojęcia te nabrały swoistego sensu. Jak wiadomo, w wyniku drugiej wojny światowej pozostały, czy raczej - powstały dwa supermocarstwa, rywalizujące ze sobą militarnie, ideologicznie, politycznie. W 1949 r. ZSRR stał się mocarstwem nuklearnym, przełamując monopol USA w tej dziedzinie. Od tego czasu, przez cały okres „zimnej wojny”, która rzekomo zakończyła się oficjalnie w 1990 r., w ogłoszonej przez przywódców państw-uczestników Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) „Karty Paryskiej”, w języku politologii, polityki, publicystyki przyjął się termin „świata dwubiegunowego”.

Po ustrojowych transformacjach państw „realnego socjalizmu”, w wyniku bardziej lub mniej „aksamitnych rewolucji” (1989-1991), co USA uznały za swoje zwycięstwo w zimnej wojnie, skończyła się bezpowrotnie era świata dwubiegunowego.

Jedynie pozostałe wówczas w świecie super- czy nawet (jak go nazwał ówczesny minister spraw zagranicznych Francji – Jacques Vedrine), hipermocarstwo USA, ... już istnieniem ZSRR dążyło różnymi metodami w okresie rządów różnych, prezydentów (Busha-seniora, Clintona i Busha-juniora) hegemonii nie tylko militarnej, lecz i gospodarczej, politycznej, cywilizacyjnej nad całym światem.

Przypomnę, że w początkach lat 90. ubiegłego stulecia ożywiła się burzliwa działalność amerykańskich neokonserwatywnych ideologów, publicystów i polityków. Rozwijali swe polityczno-strategiczne koncepcje w różnych „think-tankach”, głównie w American Enterprise Institute (w których kilka lat pracował Radosław Sikorski), Center for Strategic and International Studies, w Jewish Institute for National Security Affairs. Omawiali i propagowali je w licznych periodykach i dziennikach, między innymi w „Commentary”, „National Review”, „New Republic”, „Weekly Standard”, „Wallstreet Journal”, „Washington Post”.

William Kristal – wydawca „Weekly Standard” i jeden z najbardziej wpływowych neokonserwatystów skupił wokół siebie grupę bliskich mu ideowo publicystów i polityków w celu opracowania „Projektu dla Nowego Amerykańskiego Stulecia” (Project for a New American Century). Jego realizacja miałaby zapewnić Ameryce dominację, nie tylko militarną, lecz i gospodarczą, technologiczną, polityczną, cywilizacyjną nad światem przez cały XXI wiek. Wyróżniającymi się wśród nich byli między innymi: przyszli członkowie i doradcy rządów G. W. Busha: Paul Wolfowitz, Richard Perle, Douglas Feith, Richard Libby, David Wurmser, jak i Robert Kagan (znany i w Polsce ze swej książki pt. „Potęga i Raj”), Norman Podhoretz. Ideowo bliscy im byli między innymi: Richard Cheney (przyszły wiceprezydent) i Douglas Rumsfeld (przyszły minister obrony).

Ogłaszali za czasów prezydentury B. Clintona listy otwarte do niego, wzywające do inwazji i okupacji Iraku, bardziej zdecydowanego poparcia polityki Izraela wobec Palestyńczyków oraz usztywnienia polityki USA wobec Chin, Syrii i Libii. Ich wpływ na politykę rządów Clintona był niewielki. To oni formułowali koncepcje „pre... (uprzedzającego – M.D.) uderzenia”, nawet przy użyciu broni jądrowej „w samoobronie” USA, ignorowanie ONZ i prawa międzynarodowego, unilateralnej polityki z pozycji siły. W republikańskich prawyborach kandydata na prezydenta w 2000 r. popierali początkowo senatora Johna McCaina, a gdy zorientowali się, że nie ma on szans przeczucili swe poparcie na G.W. Busha.

Richard Cheney, nowo wybrany wiceprezydent, który kierował procesem przyjęcia władzy od demokratów przeforsował obsadzenie głównych stanowisk w Pentagonie, Departamencie Stanu, służbach wywiadowczych, niektórymi ze wspomnianych wcześniej i innymi neokonserwatystami. Ich wpływ na politykę zagraniczną i bezpieczeństwa międzynarodowego stawał się coraz wyraźniejszy.

Po ataku terrorystycznym na Nowy Jork i Waszyngton ich koncepcje „Nowego Amerykańskiego Stulecia” stały się oficjalną „Narodową Strategią Bezpieczeństwa Ameryki” („The National Security Strategy of America”) ogłoszoną przez G.W. Busha w 2002 roku. Obowiązywała, z kosmetycznymi zmianami wprowadzonymi w 2006 r., do końca drugiej kadencji Busha-juniora - do 2008 r.

Odarta z retorycznych, idealistycznych deklaracji typu „niesienia wolności i demokracji do wszystkich zakątków świata” strategia ta sprowadzała się, w zasadzie, do:

- samozwańczego przyznawania USA roli globalnego przywództwa;
- utrzymania i powiększania bezkonkurencyjnej militarnej przewagi w świecie i technologicznej wyższości nad wszystkimi państwami świata;
- zapewnienie trwałego dostępu do światowych surowców strategicznych, w szczególności na Bliskim i Środkowym Wschodzie;
- niedopuszczania do zdobycia broni jądrowej przez państwa jej nieposiadające.

Realizacja tych celów miała być osiągana drogą unilateralnej polityki z pozycji siły, gróźb, szantażu i rozpętywania wojen, bez względu na głosy opinii publicznej w USA i na świecie, sojuszników i wrogów, międzynarodowych organizacji, bez przestrzegania prawa międzynarodowego.

Po wspomnianym ataku terrorystycznym na USA, G.W. Bush ogłosił w 2001 r. „globalną wojnę przeciwko terroryzmowi”, która trwa do dziś i w wyniku której terroryzm wzrósł w skali światowej i przybrał nowe formy „samobójczych zamachowców”.

Realizowana w praktyce strategia narodowego i międzynarodowego bezpieczeństwa neokonserwatywnych rządów G.W. Busha, chyba najgorszego prezydenta w historii USA, doprowadziła do wieloletnich, katastrofalnych wojen w Afganistanie i Iraku, destabilizacji sytuacji na Bliskim Wschodzie, do wzmożenia wrogości wobec USA w różnych regionach świata.

Prowadzona przez G.W. Busha i sojuszników USA polityka neoliberalnej globalizacji gospodarczej przyczyniła się do stale nabrzmiewających i zaostrzających się kryzysów regionalnych i globalnych: żywnościowego, energetycznego, ekologicznego i finansowo-gospodarczego. Kropką nad „i” były wybory prezydenckie w listopadzie 2008 r., które wygrał Barack Obama. Obiecywał w kampanii wyborczej „zmianę” (change) i definitywne odejście od unilateralnej, katastrofalnej polityki G.W. Busha i jego popleczników. Zapowiadał, że potrafi wraz z popierającymi go Amerykanami tego dokonać (yes, we can). Tak zakończyło się „Nowe Amerykańskie Stulecie”, które trwało niespełna osiem strasznych lat. Tak zakończyła się też, mam nadzieję, że bezpowrotnie, a w każdym razie w XXI wieku, era światowej hegemonii jednego super- czy hipermocarstwa.

Od 2009 r. żyjemy w świecie wielobiegunowym, czy jak kto woli – multilateralnym, pluralistycznym, z wieloma różnymi ośrodkami, centrami, państwami, układami wpływającymi znacząco na kształtowanie obecnych i przyszłych losów świata.

W tytule artykułu z początku 2007 r. postawiłem pytanie: „Świat jedno- czy wielobiegunowy?”, na które nie mogłem dać wówczas jednoznacznej odpowiedzi. Przedstawiłem w nim ówczesne dewastujące skutki szaleńczej hegemonistycznej polityki rządów G.W. Busha. Wskazywałem na wzrastający od wczesnych lat 90. wieloaspektowy ruch antyglobalistyczny, na wyzwolenie się spod dominacji USA licznych krajów Ameryki Łacińskiej, na tworzące się układy różnych państw, sprzeciwiających się polityce USA, na wzrastającą rolę Chin, Indii, Rosji, Brazylii, zacieśniających współpracę gospodarczą, opartą nie na neoliberalnych zasadach itp., itd. Opowiadałem się, rzecz jasna, za światem wielobiegunowym, pluralistycznym, kooperatywnym,

lecz nie konfrontacyjnym.

Wówczas niemożliwe było rzetelne prognozowanie, w jakim kierunku rozwiną się losy świata w związku z bezwzględnym realizowaniem przez USA strategii „Nowego Amerykańskiego Stulecia”, mimo że osiągała ona skutki przeciwstawne do zamierzonych. Rad jestem, że mogę na postawione wcześniej pytanie pozytywnie odpowiedzieć. Tak, jak już wspominałem, od 2009 r. żyjemy w świecie wielobiegunowym. Wiek XXI nie będzie na pewno „Nowym Amerykańskim Stuleciem”, lecz wiekiem świata multilateralnego, wiekiem, w którym, mam nadzieję, dochodzić będzie, mimo rywalizacji, różnych państw mocarstwowych i sojuszy do coraz bliższej ich współpracy w celu pokojowego, środkami politycznymi, rozwiązywania groźnych konfliktów, kryzysów, wyzwań grożących nadal samozagładą ludzkości. Historię rozwoju świata po drugiej wojnie światowej można by, w olbrzymim uproszczeniu i jaskrawym skrócie, określić jako przechodzenie od świata dwubiegunowego, przez katastrofalną próbę stworzenia świata jednobiegunowego, do istniejącego obecnie świata wielobiegunowego, multilateralnego, pluralistycznego.

To dobra, nawet bardzo dobra wiadomość. Są jednak, niestety, złe i bardzo złe wiadomości. Należą do nich między innymi, moim zdaniem, wzrastające rozczarowanie związane ze skutkami dotychczasowej polityki „zmiany” rządów Baracka Obamy (m.in. Afganistan, Iran, Izrael-Palestyna), żółwie tempo realizacji wizji świata bez broni nuklearnej, polityka ekologiczna. Najgorszą wiadomością jest jednak fakt, że mimo załamania się neoliberalnego mitu, którego realizacja miała w ciągu kilku czy kilkunastu lat doprowadzić do pokoju, demokracji i dobrobytu na całym świecie, a w praktyce doprowadziła do wspomnianych już i innych kryzysów, ze światowym finansowo-gospodarczym włącznie. Mit ten jest nadal podtrzymywany, z kosmetycznymi zmianami przez neoliberalne rządy i odpowiednie międzynarodowe instytucje dążące do „naprawienia” skutków tych kryzysów, tymi samymi środkami, które do nich doprowadziły.

Zamierzałem o tym konkretniej napisać, lecz rozsadziłoby to ramy artykułu dla „Przeglądu Socjalistycznego”. W następnym artykule spróbuję racjonalnie uzasadnić moje rozczarowania niektórymi skutkami dotychczasowej polityki Baracka Obamy. W związku z jego wyborem na prezydenta USA pokładałem, podobnie jak miliony ludzi na świecie, wielkie nadzieje i oczekiwania związane z jego zapowiadanej w kampanii wyborczej „zmiany”. Jak dotąd, niewiele z tego programu zostało zrealizowane. To przykre. Kiedy jednak pomyślę, że niewiele brakowało, by wybory prezydenckie wygrał John McCain, co w praktyce oznaczałoby kontynuację unilateralnej polityki z pozycji siły, to jestem bardzo rad, że wybory te wygrał Barack Obama.

Marian Dobrosielski, *prof. dr hab., filozof, dyplomata*